Nr. 32. Sobota dnia 9-go sierpnia 1913.

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę trzynastą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA
z listu św. Pawła do Galatów rozdział III, wiersz 16—22.

Bracia! Abrahamowi opowiedziane są obietnice i nasieniu jego. Nie mówi i nasieniom, jakoby w wielu, ale jako w jednem: i nasieniu twojemu, który jest Chrystus. A to powiadam, testamentu przedtem od Boga utwierdzonego, zakon, który po czterech set i trzydzieści lat dany jest, nie wątli ku zepsowaniu obietnice. Albowiem jeśliż z zakonu dziedzictwo, już nie z obietnicy. Lecz Abrahamowi przez obietnicę Bóg darował. Cóż tedy zakon? Postanowiony jest dla występków, ażby przyszło nasienie, któremu obiecał rozrządzony przez anioły w ręce pośrednika. A pośrednik nie jestci jednego, lecz Bóg jeden jest. Zakon tedy przeciwko obietnicom Bożym? Nie daj Boże! albowiem gdyby był dany zakon, któryby mógł ożywiać, prawdziwieby z zakonu była sprawiedliwość. Ale pismo zamknęło wszystko pod grzechem, aby obietnica z wiary Jezusa Chrystusa była dana wierzącym.

EWANGELIA
u św. Łukasza rozdział XVII, wiersz 11—19.

W on czas, gdy szedł Jezus do Jeruzalem, przechodził środkiem Samaryi i Galilei. A gdy wchodził do niektórego miasteczka, zabieżeli Mu dziesięć mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka, i podnieśli głos, mówiąc: Jezusie, Nauczycielu, zmiłuj się nad nami! Które ujrzawszy, rzekł: Idźcie, ukażcie się kapłanom. I stało się, gdy szli, byli oczyszczeni. A jeden z nich widząc, że był uzdrowiony, wrócił się, głosem wielkim chwaląc Boga, i padł na oblicze u nóg Jego, dziękując: a ten był Samarytan. A Jezus odpowiedziawszy, rzekł: Ażaliż nie dziesięć jest oczyszczonych? a dziewięć kędy są? Nie jest naleziony, któryby się wrócił, a dał Bogu chwałę, jedno ten cudzoziemiec. I rzekł mu: Wstań, idź, bo wiara twoja cię uzdrowiła.

NAUKA.

Człowiek niewdzięczny Bogu i ludziom obmierzły.

„Czyliż nie dziesięciu było oczyszczonych, a dziewięciu gdzież są“?

Z owych dziesięciu oczyszczonych z trądu jeden tylko powraca do Pana Jezusa, do nóg Jego przypada, dziękując Mu za uzdrowienie. Przed chwilą wybiegli wszyscy naprzeciw Jezusowi Panu, z daleka błagalnie wołając: *Jezusie, Nauczycielu, zmiłuj się nad nami!* Wyrzucono nas z domów naszych, rozłączono z rodziną naszą dla tego trądu, jaki nas obsypał, ale Ty, Jezu, zmiłuj się nad nami. Zmiłuj się, a dopóki życia nam starczy, dopóki tchu w piersiach naszych stanie, nie zapomnimy nigdy tego dobrodziejstwa. *Których ujrzawszy Pan, rzekł: Idźcie, ukażcie się kapłanom. I stało się, gdy szli, byli oczyszczeni.*

Więc Pan Jezus się nad nimi zmiłował, z trądu ich oczyścił, a jednak jeden tylko podziękował za to. Więc na tę niewdzięczność ich żali się Pan Jezus, mówiąc: *Czyliż nie dziesięciu było oczyszczonych, a dziewięciu gdzież są?* Jakże więc niewdzięcznik Bogu jest obmierzły.

Kogóż to jednak my niewdzięcznym zowiemy? Odpowiedź łatwa na to pytanie. Kto za dobrodziejstwa i łaski otrzymane źle się wypłaca dobrodziejom swoim, oto człowiek niewdzięczny. Największym zaś dobrodziejem naszym jest Bóg. Wszystko przecie co mamy, od Niego mamy. Wiemy też, że nie kto inny żywi nas, przyodziewa, jeno Bóg sam. Od Niego życie nasze, zdrowie, powodzenie nasze. *W Nim żyjemy, ruszamy się, jesteśmy* (Dz. Ap. 17, 28), a bez Niego w jednej chwili jak muchy giniemy. Dlatego mówi Psalmista: *„Bóg mój, wspomożyciel mój; w Nim będę nadzieję miał“* (17, 3).

Oto nasz największy dobrodziej, ten Bóg, którego ziemia podnóżkiem. Za wszystkie jednak dobrodziejstwa Jego jakże Mu się odpłacasz?

Co tylko mamy, od Boga mamy. Od Niego więc twoje oczy dobre, uszy dobre, mowa dobra i zdrowie to, jakiem się cieszysz od dawna, wszystko to od Boga. Tych Jego dobrodziejstw jakże ty używasz, jak Mu się za nie odwdzięczasz?

Dał ci Bóg słuch dobry, że słyszysz i rozmowy ludzi pomiędzy sobą i śpiewanie ptasząt, grzmot piorunu, szum wiatru. Słyszysz to dokładnie, bo słuch masz dobry, a masz go od Boga. Jakże ty tego słuchu używasz? na słuchanie obmów i plotek, na słuchanie rozmów plugawych, na podsłuchiwanie, o czem tam rozmawiają drudzy. I godziny całe schodzą ci na takiem słuchaniu, nieraz i dnie całe. A niech ci o Bogu ktoś mówi a mowa ta rychło cię znudzi, albo niechaj ci żywoty świętych zacznie rozpowiadać, a ty czemprędzej chyłkiem uciekasz. W taki to sposób ty się Bogu odwdzięczasz, że ci uszy ku słuchaniu dał dobre. Czyż nie lepiej jednak było ci urodzić się głuchym?

Jakie uszy takie też i twoje oczy i one szukają wszędzie tylko plugastwa. Tam żarty szkaradne a tym żartom jakże ty się rad przypatrujesz; tam znowu pijaków gromada, a dla ciebie rozkoszą to wielką, że ich widzisz pijanych. I na wszystko złe oczy twoje ciekawe niezmiernie: na obrazki lubieżne, na książki lubieżne. Obrazki takie chowasz przecie przy sobie jak złoto, a takie książki całemi czytasz nocami. Cóż myślisz? czy Bóg na to dał ci oczy dobre? Oj, lepiej ci było ślepym się narodzić!

Cóż dopiero o twoich mowach powiedzieć? Wieleż to takich, co cały rozum swój i dowcip na tem zasadzają, że mówić umieją plugastwa. Choć przy nich dziatek gromada, co mowom ich z ciekawością się przysłuchuje, oni jednak i wtedy plugawią. Czy nie wiedzą, co powiedział Pan Jezus: *„Biada człowiekowi onemu, przez którego zgorszenie przychodzi“* (Mat. 18, 7). A takich mów i rozmów pełne przedewszy-

stkiem wasze wesela. Dla szatana żniwo tam obfite. Tak więc odwdzięczasz się Bogu za dobrą twą mowę. Wszak lepiej ci było niemym się urodzić.

A zdrowia twego na cóż ty używasz? na rozpustę poność, na pijatyki, na włóczęgi nocne. Przyjdzie kiedyś sąd Boży na ciebie, wtedy to roztworzy Bóg księgę twego żywota i pokaże ci kartkę za kartką. Sam dyabeł nawet, kiedy ją zobaczy, wzdrygnie się przed nią, ale i ty naonczas się wzdrygniesz. Dobrem Bóg darzy cię zdrowiem, więc rozpustujesz bez końca, bez końca przesiadujesz po karczmach, włóczysz się po nocach bez końca. Godzina przy pracy taka ci długa, a noc cała na hulance spędzona, taka ci króciuchna. Droga do kościoła daleka ci bardzo, do karczmy bliziutka. Domy smutku i płaczu wstrętne ci niezmiernie, domy zaś rozpusty miluchne. Czy na to dobrem cię zdrowiem Bóg opatruje? Oto jak się Bogu odwdzięczasz, że darzy cię skarbem nad skarby, że dobrem darzy cię zdrowiem.

Tak więc i między nami niewdzięczników nie mało, co się Bogu źle odpłacają za dary Jego. Cóż stanie się z nimi? Czy dziś czy jutro kara Boża niewdzięcznika nie minie, bo Duch św. mówi: *„Kto oddaje złe za dobre, nie wynijdzie złe z domu jego“.*

Tak samo i ludziom niewdzięcznik obmierzły. Na dowód parę wam tu przytoczę przykładów.

W jednej wiosce wszczął się pożar przed laty, spłonęły wtedy trzy domy. Ci, co uszli pożaru, uważali sobie za obowiązek nieszczęśliwych ratować i ratowali ich po chrześciańsku. Niejaki Wojciech Pientocha odznaczył się miłosierdziem wtedy, bo sąsiadowi, co też pogorzał dał i słomy na poszycie połowy dachu, dał mu i cielątko, bo mu się była krowa spaliła. Wtedy to pogorzelec ów wynosi pod niebiosa dobrodzieja swego, ręce jego całował. W rok potem zawaliła się Wojciechowi studnia, nie mając więc skąd czerpać wody, idzie po nią do tego sąsiada, któremu cielę dał i słomy dostatek. Ale sąsiad wody mu zaprzecza. Powiada: czy twoja to studnia? czy dałeś na cembrzynę deskę choć jedną? I wody mu nie dał. Ta niewdzięczność tego sąsiada po całej wsi rychło się rozeszła, zgorszyła wszystkich. Stało się, że go pożar po raz drugi nawiedził. Chodzi więc i żebrze miłosierdzia u ludzi, ale go u nikogo nie znalazł. Powiadano mu wtedy: tyś Wojciechowi wody żałował, choć to wielki twój dobrodziej, toś miłosierdzia nie godzien. I wszyscy tak pogardzili nim, bo niewdzęcnik i ludziom obmierzły.

Inny wypadek, jaki się w innej wiosce wydarzył. Jakób, syn bogobojnych rodziców, nie znał jakoś czwartego Bożego przykazania, bo z ojcem i z matką źle się obchodził. Bywało, ojciec mówi tak, syn tak; mówi ojciec: idź do kościoła, a syn na hulankę pognał do miasta; ojciec mówi: weź sierp, idź do żniwa, a syn do ogrodu poszedł i położył się w cieniu pod drzewem. Dość, że ani ojciec, ani matka nie mogli z nim poradzić. Tak rósł i rósł ten Jakób, aż mu i lata żeniaczki nadeszły. Idzie tedy w osłęby do jednej dziewuchy. Przychodzi, ojcu i matce się kłania i mówi, że radby się z ich córką ożenił. A ojciec mu na to: z moją córką ty chcesz się żenić? niech raczej dziewczyną do śmierci zostanie; znam ja cię dobrze, ty synu niewdzięczny dla własnych rodziców, tybyś nas wszystkich przed czasem do grobu wyprawił; idźże sobie, skąd przyszedłeś. I poszedł jak ni●yszny, zawstydzony wobec wszystkich niezmiernie, z czego potem wieś cała bardzo się cieszyła. Bo niewdzięcznik i ludziom obmierzły.

Może i ty do takich należysz? Ale wtedy trzeba o tobie powiedzieć, żeś nikczemniejszy nawet od zwierzęcia. — Niejaki Androdus, na śmierć przez Rzymian skazany, porzucony został lwom na pożarcie. Dzieje się jednak rzecz nadzwyczajna. Zamiast go w kawały poszarpać i pożreć, jeden z nich przybiega do niego, zaczyna go lizać, głaskać ogonem, a reszty lwom nie pozwala do niego się przybliżyć. Ludu przytem było mnóstwie wielkie, pytają więc Androdusa, jaka tego przyczyna. A on odpowiada, że właśnie tego lwa on przed laty uleczył, bo gwóźdź mu z łapy wyciągnął i materyę z rany wycisnął. Uważ więc sobie, jak to i bezrozumne zwierzę poznaje dobrodzieja swego i za dobre dobrem się odpłaca. A ludzie tymczasem postępują nieraz inaczej zupełnie. Jakiż to wstyd dla nich!

Pan Jezus żali się na niewdzięczność onych trędowatych, kiedy mówi: *Czyliż nie dziesięciu było oczyszczonych, a dziewięciu gdzież są?* Nie daj tego Boże, aby i na naszą niewdzięczność żalił się kiedy ktokolwiek. Amen.

Koniec pana na Wiznie.

Szkic historyczny z XII wieku.

I.

Zasępiony, chmurny po wielkiej komnacie zamkowej chodził Bolesta, pan na wizkim kasztelu, rycerz dzielny, Bolka Kędzierzawego faworyt. Żylastemi dłońmi brodę rwał czarną, palce w krucze włosy wpijał, to się po biodrach uderzał, to pięści zaciskał a z ust mu klątwy się rwały, z ócz skry padały złowrogie. Do zwierza dzikiego był podobny, którego w klatce zamknięto, zbawiwszy swobody, jakiej w puszczach lesistych zażywał.

On, palatyn możny, pohańbienia dumy swej doznał. Wszak-ci nie przez to łaskami i zaszczyty odarował go król, jedno że mężniej nadeń nikt prawie z rycerstwa w boju nie stawał; wszak-ci to on poskramiał tłuszcze pogańskie a u nich zyskał taką sławę, że spory i waśnie u niego rozstrzygano. I oto możnemu panu temu Okszyce dziewki odmówili, dla jednego ubogiego rycerka, któregoby mógł makatami ze skarbca udusić. Mówili, że dziewka do niego serca nie ma, a do tamtego lgnie — słyszaneż rzeczy, iżby woli podwik słuchano? To też kasztelan odmowy tej znieść nie mógł. Dziewkę z rodzicielskiego domu przemocą porwał a chociaż po dziś opór mu stawiała i nie chciała ślubować, trzymał ją na zamku, pewnym będąc, że ją ugnie i do miłowania zniewoli.

Aliści Okszyce, ród możny, stary, szanowany, oburzyli się na postępek kasztelana. Ojciec dziewki do króla jeździł, u biskupa płockiego był, oskarżenie na gwałt wnosząc i sprawiedliwości się domagając. Król ulubieńca ani karać, ani go do siebie zniechęcać nie myślał. Biskup inaczej na rzeczy patrzył. Bolestę za gwałciciela uznawszy, przed sąd powołał, a gdy ten nietylko, że nie stanął, ale posły z naigrawaniem odprawił, srogą karą, bo klątwą zagroził mu kościelną.

Na biskupstwie płockiem siedział podówczas Werner, mąż chwalebny, miłością ku Bogu, czystością życia, pobożnością i rzadkiemi umysłu przymiotami połączonemi z wysoką nauką i obyczajów ogładą, zalecony. Mąż ten owczarni swej jako dobry pasterz strzegł i nie dopuścił, iżby się bodaj najmizerniejszemu z maluczkich pokrzywdzenie stało. Boleście co należne oddawał, ale skoro o dopełnionem przezeń bezprawiu usłyszał, świętem oburzeniem zawrzał.

— Nie może to być — mówił — iżby w moich ·czach ważono się porywać na niewinność, na święte

prawa rodzinne. Bolesta dziewkę ojcom zwrócić musi, pokajać się i zaniechać zdrożnych zamysłów.

Mniemał świątobliwy mąż, że moc powagi kościelnej dumnego palatyna na drogę poprawy zwróci, że się upokorzy i słuszny wyrok uszanuje, ale całkiem inaczej się stało. Kasztelan, o dekrecie biskupim usłyszawszy, niepohamowanym gniewem wybuchnął.

— On, on mnie kajać się nakazuje, dziewkę zwrócić a może włosienicę narzucić? Niedoczekanie! Nauczę go ja, zali można z Boleszczycami poczynać — wołał rozwścieczony.

I pięścmi skronie tłukł, i dzbany chmielnego piwa wychylał, biskupowi się odgrażając.

Żeby zasie pomście swej zadosyć uczynić, Karsko, włość do kościoła płockiego należącą, najechał i zajął.

Upominali go i król, i przyjacioły, żeby Bogu poświęconej własności nie tykał, on radom i napomnieniom urągał, odpowiadając, jako zuchwałość biskupią karci.

Werner przed sądy go zawezwał, gdzie przecież sprawiedliwość możności się nie ulękła, i bezprawnie zagarnięte włości komu należy zwrócić kazała.

Ustąpił kasztelan z Karska, ale to nowe upokorzenie więcej go jeszcze przeciw biskupowi złością napoiło. I oto jak odyniec raniony się rzuca, przemyśliwając, czemby biskupowi dopiekł za rzekomo śmiertelną obrazę.

— Ej, kasztelanie-drużbo — ozwie się z kąta wesołek Mucha, wielkiej u pana na Wiznie łaski zażywając — co ci się z mnichami zreć? Niebezpieczna z niemi sprawa... Jać ta do krotochwil jeno a uciechy, ano... tobie powiadam, zaniechaj tej wojny. Małoż ci Jaćwieży i inszej dziczy? Weźmij kołpak bojowy, mieczyk i hajda na pogaństwo! Krwie ci tam oni upuszczą, toć i na zdrowie pójdzie.

— A milcz-że plugawe plemię! — ryknął Bolesta.

— Żali chcesz, bym ci łba nie skręcił, krotochwile ostaw do pory. Sam wiem, co mam robić.

— Kasztelanie-drużbo, nie wiesz co robisz, bo cię złoście opętały i szarpią myślami, niby wiatr jesiennemi liśćmi. Ja ci przy kuflu wesela dodaję, ty mi koście rzucasz... i za to ci Bóg zapłać, ale godzi mi się też, chociaż robakiem plugawym mnie nazywasz, radę dobrą dać...

— Radę, ty? — mruknął kasztelan.

— Czemużby nie? — wyszczerzył zęby żółte Mucha. — Owo biskupowi się pokłoń, o dziewce zapomnij i... do klasztoru idź. Tam cię z pewnością na godność wielką wysadzą, jeno że musisz próbny czas wytrzymać i drwa rąbać, wodę nosić a psom jadło warzyć.

Oczy Bolesty zamigotały strasznie, sunął ku złośliwemu wesołkowi, ale ten, widząc, iż go co złego spotkać może, pomknął ku drzwiom, któremi właśnie wchodził Bieniasz, brat kasztelana.

Był to olbrzym o muskularnych członkach, twarzy włosami obrosłej, ciężki, ponuro patrzący, choć młody jeszcze. Chrzest święty zeń grzech pierworodny zmazał, ale uczucia chrześciańskie nie przyjęły się w jego sercu, ile że podówczas wiara gruntu trwałego nie dosięgła. Chrzczono dziatki, do kościołów chodzono, księży słuchano, postów przestrzegano, ale nie z przekonania, tylko dlatego, że tak czynili królowie, tak nakazywali biskupi i księża. Atoli pod zewnętrzną powłoką chrześciaństwa żyło przywiązanie do starych bogów, w niejednym dworze, w niejednej chacie bałwany chowano i tym ofiary przynoszono potajemnie.

Brat Bolesty w lasach, na łowach i utarczkach wojennych życie pędził, był niemal dzikim człowiekiem. Jemu byle łuk i kołczan, byle mieczyk a oszczep, jużci dosyć. Na widok krwi śmiał się, jak on wilk, co się stadami po puszczy włóczy.

Ujrzawszy go Bolesta ręce wyciągnął.

— I cóż? cóż? — spytał.

— Dziś biskup do Biskupic zjechał — odparł Bieniasz na ławie siadając.

— Więc... — podjął kasztelan, za ramiona go ujmując.

Bieniasz ręce rozwarł.

— Twoja wola — rzekł — ale zważ, że mnichy na czarach się znają. Zdradnie z niemi wojować...

Roześmiał się Bolesta, obok Bieniasza siadł, miodu syconego przynieść kazał i wszczęła się pomiędzy braćmi cicha rozmowa.

Trwała dosyć długo; kasztelan coś przekładał, Bieniasz się ociągał, wreszcie dłońmi o dłonie plasnęli.

— Zgoda — rzekł Bieniasz. — Jać tam nie będę winowaty, jeżeli się na ukręconym przez siebie postronku powiesisz.

II.

Pora była zimowa. Śnieg niby oponą ziemię otulił, gałęzie drzew srebrną okrył łuską i tafle lodowe w białe pieluszki spowił. O tej porze biskup Werner, kościoły objeżdżając, w Biskupicach, włości kościelnej, na nocleg przystanął.

Znużony rychło na spoczynek się udał, mając przy sobie O. Benedykta, mnicha benedyktyńskiego zakonu i jedno tylko pacholę służebne. Sędziwy pasterz jeszcze nie przymknął powiek, gdy z poza szczelin zasuwy, okno opatrującej, błysnęło światło niezwykłe, a wraz z tem krzyki się rozległy, tętent galopujących koni i szczęki orężne.

— Na Boga, co to być może?... — zawołał strwożony O. Benedykt.

— Znać nieszczęście włość nawiedziło — odparł biskup, powstając z łoża — ktoś zarzucił łuczywo i oto gore. Spieszmy z ratunkiem.

— Ale owe krzyki... ono szczękanie zbroiczek... ojcze wielebny, coś złego przeczuwam...

— Żali strach może być udziałem sług Chrystusa? — napomniał biskup. — Sumienia nasze czyste, czegoż się lękać mamy?

Nie domówił tych słów, gdy drzwi z trzaskiem się rozwarły i w nich ukazał się tłum uzbrojony, o twarzach dzikich, trunkiem zaognionych, dzierżący w ręku topory, mieczyki i oszczepy. Blask kilku żagwi, niesionych przez przodujących, oświecał tę rozszalałą tłuszczę, nadając jej charakter przerażającej grozy.

— Pokój z wami, czego żądacie — począł biskup ujmując za krzyż, który mu na piersi zwisał.

— Śmierć mnichowi, śmierć czarownikom! — wrzasnął tłum i nagle z tej drużyny szalonej wysunął się Bieniasz, z podniesionym w górę toporem.

— Będziesz miał spokój, miłościwy biskupie! — zarychotał ochrypłym głosem, poczem ugodził w głowę bezbronnego starca.

— W ręce Twoje, Panie, duszę moją oddaję... Przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią! — szepnął biskup i ucichł na zawsze.

O. Benedykta nie oszczędziła tłuszcza morderców, jeno pacholę ocalało, aby świadczyć o karygodnym czynie, który całem Mazowszem wstrząsnął

Była to zemsta wizkiego pana za rzekomo doznaną obrazę.

III.

Do katedry gnieźnieńskiej od rana napływały tłumy wylękłe, wybladłe, milczące, ze strachem na siebie spoglądające. W powietrzu brzmiał odgłos dzwonu — dziwnie groźny, jakoby nieszczęsną chwilę zapowiadający. Serce nie uderzało w obie strony blachy, lecz w jednę, a ludzie wiedzieli, co to znaczyć miało.

Dnia tego miał być wyklęty Bolesta, kasztelan wizki a potem na kaźń powleczony.

W kościele zebrali się mnodzy dostojnicy państwa; był i król Bolesław, i jego witezie, i co zacniejsi z władyków i ziemian. Gdy świątynia zapełniła się ściśle, przed ołtarzem ukazali się: arcybiskup gnieźnieński Piotr, krakowski biskup Gedeon i poznański Bernard, w otoczeniu licznego duchowieństwa. Wszyscy nieśli czarne świece a twarze mieli smutne i surowe.

Po odśpiewaniu żałobnego psalmu cisza zaległa świątynię i rozległ się głos arcypasterza:

— Wyklęty jest Bolesta, wizkiej ziemi kasztelan, wyklęty ze służebniki swojemi i z przyjacioły, wyklęty z tymi, co radę i pomoc jego pomysłom niecnym dawali...

Długo brzmiała klątwa; przerażająca jej treść trwogą przejmowała serca zgromadzonych. Łamano ręce, wzdychano, a gdy arcybiskup kończąc smutny obrzęd wygłosił: „Anathema! Anathema! Anathema!" a duchowni powtórzyli: „Fiat! Fiat! Fiat!" i jęli łamać świece a na posadzkę rzucać, takie łkania, taki płacz się ozwał, że aż sklepienia świątyni drżały.

Po tym obrzędzie król z duchowieństwem sunęli ku głównemu rynkowi, gdzie kaźń się odbyć miała. Ułożono tam wysoki stos smolny, a obok kocioł ustawiono, w którym wrzał wosk roztopiony.

Wyprowadzono wreszcie i przestępcę.

Do człowieka nie był podobny; włosy mu się jeżyły, twarz miał pożółkłą, wargi do krwi pokąsane a w oczach szyderstwo. Zakamieniały był grzesznik, bo nietylko, że się nie kajał, ale gdy około duchownych przechodził, plunął w ich stronę, co widząc zebrany lud, okrzyk wydał oburzenia.

Na stos wprowadził go mistrz z pachołkami i tam powrozami został związany, poczem pisarz królewski dekret odczytał głośno.

Bolesta, usłyszawszy co go czeka, wykrzywił twarz i jął plugawemi słowy złorzeczyć Bogu, biskupom i królowi. Bluźnierstwa te rychle przerwano; owinięto go wielkiemi płatami lnianego płótna, przywiązano do słupa w środku stosu umieszczonego a następnie poczęto roztopionym oblewać woskiem.

Nieludzki ryk rozdarł powietrze; skazaniec wił się, powrozami targał, lecz niebawem umilkł.

U słupa stała bezkształtna jakaś, potworna masa.

Mistrz podpalił stos; smolne polana w jednej chwili się zajęły — płomień strzelił olbrzymią kolumną, osłoniętą czarnym płaszczem dymu...

Taki był koniec dumnego pana na Wiznie.

Bieniasza ująć nie zdołano; lud opowiadał, że go ziemia pod Zakroczymiem pożarła.

Ciało biskupa Wernera złożono w katedrze płockiej; odwiedzający grobowiec męczennika doznawali wielu cudownych łask. Dziś ani śladu grobu tego.

TO I OWO.

SŁONIE BIAŁE.

Indyjski buddysta wierzy, że ponieważ białość skóry jest symbolem czystości duszy, przeto słoń biały jest przeznaczony do przyjmowania dusz królów, bohaterów i świętych na mieszkanie. Tylko najpotężniejsi mocarze mają przywilej posiadania tych zwierząt a uważają go za tak cenny, że wpośród najzaszczytniejszych swych tytułów wymieniają: *Pan słonia białego.* Aby posiąść słonia lub przy posiadaniu jego się utrzymać, nie cofają się przed żadną ofiarą, prowadzą z sobą o to nawet zacięte wojny. Król Thongu był niegdyś posiadaczem tego tytułu, wydarł mu go król Syamu a od niego zaszczyt przeszedł na monarchią Talinów, każde zaś przejście nie obeszło się bez krwawej walki. Leblanc mówi, że w kronikach syamskich znajduje się dowód ważności, jaką monarchowie tej prowincyi przywiązywali do posiadania nietylko jednego słonia białego ale też wielkiej liczby słoni białych, o których nabycie starali się usilnie. Król Syamu, panujący w r. 1548, chlubił się z posiadania siedmiu słoni białych, liczby niesłychanej; król Pegu, mocarz potężny, ofiarował w r. 1568 sąsiadowi swemu, królowi Syamu, ogromną sumę za dwóch słoni białych, a gdy mu sąsiad odmówił, wyruszył na czele armii, opanował stolicę ukoronowanego brata i uprowadził słonie.

Cramfurd z Finlayson'em, przybywszy do Bangkok, musieli, po złożeniu uroczystego hołdu królowi, złożyć wizytę w pałacu słoni białych; jest to etykieta surowo przestrzegana. Skoro który krajowiec spostrzeże dzikiego białego słonia, obowiązany jest natychmiast uwiadomić o tem monarchę, za co otrzymuje koronę srebrną i donacyą dóbr ziemskich, dziedziczoną do trzeciego pokolenia. Każdy słoń biały ma wydzielone osobne mieszkanie i otrzymuje tytuł królewski. Nawet królowie nie mogą dosiadać słoni białych, bo zwierzęta mają tytuł równy w dostojeństwie królewskim tytułom. W Bangkok każdy słoń posiada oddzielne apartamenta i dziesięciu służących do posługi. Kły ich zdobią pierścienie złote, łby okrywają złote siatki a grzbiety poduszki aksamitne. Jednakże gdy jego słoniowska dostojność popełni jaki występek, bywa surowo karany, a po skarceniu najuniżeniej — przepraszany.

Łamigłówka sylabowa

(uł. Konstanty Koźlik z Radzionkowa.)

ja, tru, a, no, sław, ście, ła, ja, wi, zły, os, dzie, ma, in, usz, we, nai, ni, zny, wi, i, usz, e, dy, tro, przy, lla, a,ność, śród, i, ga, tnie, sa, ja, ry, ma, za mie, god, na, nów, kład, lę, bę, łarcz, li, zu, kal, wan, wi, ze, sta, gro, zy, ka, je, sy, cy, ka, kar.

Z powyższych sylab ułożyć 19 wyrazów tak, aby, początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko wielkiego rycerza XVII wieku.

Znaczenie wyrazów: 1. Prowincya Palestyny. — 2. Nieprzyjaciele pszczół. — 3. Drzewo liściaste. — 4. Część ciała. — 5. Wielki książę Kijowski. — 6. Dzielnica miejska. — 7. Przymiot człowieka. — 8. Imię żeńskie. — 9. Wieś lubiana przez króla Sobieskiego. — 10. Co najłatwiej do złego pociąga. — 11. Miejscowość znana z wojny r. 1830/31. — 12. Ptaki wodne. — 13. Kancelarya dyabelska. — 14. Kraj w Azyi. — 15. Imię biblijne. — 16. Wulkan. — 17. Góra w Palestynie. — 18. Herctycy. — 19. Imię i przydomek jednego z carów.